

Piątek 22 października.

Około 11:00 dotarłam na uniwersytet. W piątki wprawdzie nie uczę, ale tego dnia miałam stawić się na badania lekarskie – „medical test”. W ostatniej chwili przed wyjściem z domu odebrałam telefon od asystentki: „czekam na panią, razem pójdziemy na test, tylko proszę nic już nie jeść, zwłaszcza słodczy”. Po ciekim śniadaniu (mleko z płatkami) nie miałam więc już szansy na zjedzenie batonika...

Po przybyciu na uczelnię poszłam w towarzystwie owej asystentki do sąsiedniego budynku. Tam zastałam olbrzymią salę na parterze, podzieloną zasłonami na kilka pokoiów. Każdy z badanych miał swój numer, ankietę, którą należało wypełnić. Po dopełnieniu formalności ruszyłam „ścieżką zdrowia”. Najpierw na wagę (!), mierzenie ciśnienia, obok okulista, EKG, pobieranie krwi do kilku probówek (ślady igły bardzo fachowo zaciśnięty specjalnym paskiem na 5 minut i zaklejony mini plasterkiem, więc żadnych znaków), potem ogólne osłuchanie, badanie słuchu, inne jakieś badania i na koniec wyjście do specjalnego autobusu, którym przyjechała aparatura z RTG. Wszystko razem trwało 45 minut!!! Przeżyłam szok! Wszyscy byli uśmiechnięci, nikt z badanych nie mówił: „ja tu już stałem, tylko poszedłem do innego gabinetu”, nie stukwały drewniaki na korytarzu. Wyniki za dwa tygodnie znajdę w szafce – korespondencja.

Nieoczekiwanie więc miałam trochę czasu dla siebie, wciąż jeszcze przed południem tego dnia. Poszłam do swojego studia (mam je do dyspozycji o każdej porze) i poćwiczyłam na jednym ze świetnych instrumentów, które stoją w tej sali. A potem zjadłam szybki lunch z pudełka (wcześniej zamówiony) i poszłam na stację metra, gdzie czekała już moja japońska przyjaciółka, która zaprosiła mnie na wspólne popołudnie. Najpierw więc jazda pociągiem do Tokyo Station – centralnego dworca tokijskiego. Wsiadaniu z metra towarzyszy mi zawsze niepokój, które wybrać wyjście? Sama więc wciąż niechętnie się poruszam. Tym razem jednak miałam towarzystwo. Okazało się, że miałyśmy też kupione w Internecie bilety na „Tokyo sightseeing tour”. Podjechał piętrowy autobus (zupełnie jak w Londynie) i przez godzinę jeździliśmy po Tokio, podziwiając ogrody Pałacu cesarskiego, nową siedzibę Fuji TV i masę ciekawych, ale brzydkich budynków z aluminium, betonu i szkła. Ostatnie chwile spędziłyśmy w słynnej dzielnicy Ginza (dokładnie zapewne nie raz jeszcze pojedę, być może nawet sama, bo już wiem, jakim wyjściem wychodzić z dworca). Przewodniczka, pełna uroku Japonka w prześmiesznym kapelusiku, niestety, tylko po japońsku opowiadała, więc nie rozumiałam nic, ale nagle zaśpiewała charakterystycznym wysokim i rozwibrowanym głosem, widać było jakąś popularną piosenkę. Niektórzy turyści jej wtórowali. Ogólnie było miło, mimo wiatru, który zwłaszcza na mostach dawał się we znaki.

Po zakończonej mini – wycieczce usiadłyśmy z moją Teruko w kawiarni o tajemniczej nazwie A 16, położonej w patio pomiędzy wysokimi budynkami. A tam stare drzewa, fontanna i kilka kameralnych sklepików, między innymi coś w rodzaju naszej Desy. Z taką tylko różnicą, że prawie wszystkie eksponaty miały oprócz ceny dołączoną karteczkę – motto od poprzedniego właściciela. A eksponaty (no bo nie mogę napisać towary!) były przeróżne. Od biżuterii, po zdekompletowane serwisy pięknych naczyń. Zdarzały się meble, tace, obrusy, wazy. Moją uwagę natychmiast zwrócił motyl. Leżał na srebrnej tacy, pomiędzy innymi broszkami. Miał skrzydła z azurowego metalu, a zamiast tułowia mini-figurkę sympatycznego aniołka, który w miejscu skrzydeł miał dwa małe kolorowe kamienie. Niestety, ten motyl nie posiadał motto od poprzedniego właściciela, dowiedziałam się tylko, że liczy sobie około 40 lat i wykonany został przez słynnego wówczas „artist”. Będzie ozdobą mojej „motylej” kolekcji, która w Japonii już powiększyła się o kilka eksponatów. Popołudnie w kawiarence minęło na ploteczkach, m.in. dotyczących zakończonego właśnie Konkursu Chopinowskiego

w Warszawie, który japońscy pianiści z zainteresowaniem śledzili. Za chwilę miałyśmy się przenieść do innej dzielnicy, do specjalnie upatrzonej na ten wieczór przez moją towarzyszkę, restauracji rybnej.

Wysiadłyśmy na stacji Ikebukuro i nawet rozpoznałam okolicę. Niedaleko stamtąd mieści się sala koncertowa Metropolitan Hall, w której wiele razy grałam. Tymczasem knajpka okazała się przemiała.

Stoliki ustawione wzdłuż okien lub miejsca przy barku wzdłuż wanny - a właściwie basenu, biegnącego środkiem pomieszczenia. Usiadłyśmy więc „z widokiem na morze”, z basenu kucharze siatkami wyciągali ryby do natychmiastowego przyrządzenia. Zupełnie się nie wtrącałam do wyboru dań, zostawiając go znającej już moje upodobania Teruko. Za chwilę zaczęły nadchodzić w naszym kierunku miski, miseczki, talerzyki i półmiski, czarki z przykrywkami i bez... A na tych talerzach wymyślne dekoracje, a to z jesiennych, kolorowych liści, a to z kamieni, małych drewnienek, kwiatów. Wszystko to było dziełem sztuki, która wedle Japończyków ma przemawiać do wszystkich zmysłów człowieka. Tam nie można jeść szybko. Po pierwsze, nie podają naszych sztućców, a tylko pałeczki, więc trzeba powoli, a po drugie, to wszystko wygląda tak niesłychanie interesująco, że trzeba najpierw się poprzyglądać. Zrobiłam nawet kilka małych szkiców ołówkiem, żeby zapamiętać kompozycje na talerzu. Chociaż niejedną książkę kucharską w życiu swoim studiowałam, to jednak nie podejmuję się opisanie tych dań. W skrócie tylko powiem, że podano dużo ryb surowych „Katsu Madai Sogata zukuri” (co tłumaczy się mniej więcej tak: żywa, nazwa ryby, figura kreacja), w cieniusieńkich plasterkach, leżących na posiekanym lodzie (nie w kostkach, nie zmielonym, a siekanym właśnie), kilka różnych rybnych pasztetów, faszerowane owoce „khaki”, dużo glonów i nieznanymi mi warzyw, fantazyjnie pokrojonych, mini-kosteczki omletów, zupa w środku wieczoru i misou soup na zakończenie, pod koniec pojawiła się również miseczka ryżu z typowymi japońskimi marynatami. A na deser – ni to kasztany ni to pierożki, słodkawe i mdławe, więc nie chciałam dokładki. Tego wieczoru wyjątkowo piłam Sake – zimną (taka do ryby bardziej pasuje). Podano ją w „zmysłnym” dzbanku, gdzie w środku jest oddzielne, małe naczynko na lód, który chłodzi, ale rozpuszczając się nie rozcieńcza sake. Kolacja trwała parę godzin, ale wstałam po niej lekka i ze świadomością, że obyło się bez tłuszczu. A wszystko to miało miejsce w restauracji TAKEWAKA, gdzie miejscowego klimatu przydawały kelnerki w kimonach, poruszające się drobnymi kroczkami i niezwykle uprzejme.

Sobota 23 października.

Na ten dzień zaplanowana była wyprawa do centrum, do owej słynnej dzielnicy Ginza. Jej celem był koncert w salonie Chanel, na który zaprosiła mnie moja była studentka Rieko. Koncert udany, publiczność dobrze słuchająca. Stylista Chanel pięknie „zrobił” moją Rieko, która dzięki temu nie tylko pięknie grała, ale także świetnie wyglądała. Program przewidziany był na godzinę, a ponieważ koncert rozpoczął się po południu, więc wieczór należał do mnie. Odwiedziłam swój ukochany od zawsze sklep papierniczy. Znają go wszyscy! Panowie mają swoją ukochaną dzielnicę Akihabara, gdzie kupują najnowszy sprzęt elektroniczny, cieszą się nim chwilę, ale ponieważ już za moment pojawia się na rynku nowszy model, jest już po radości. No i pytanie - co zrobić z już „starym” modelem? A moje piękne papierki SĄ ponadczasowe. Nie starzeją się. Wyjmuję je od czasu do czasu z szuflady i przyglądam się im. Czasem coś napiszę na pięknej papeterii, czasem coś zawinę w kolorowy, aksamitny w dotyku arkusz. Ot, takie małe przyjemności...